

tektyw — i pan mnie zwyciężył. W każdym razie muszę panu wyrazić swój zachwyt.

— Czy postąpiłem równie dzielnie, jak kapitan La Rochardie w Londynie.

— Obaj panowie jesteście dzielnymi ludźmi!

— Dziękuję.

I porucznik zemdlał. Wypadek ten zrobił silne wrażenie na obecnych. Nadbiegli oficerzy japońscy, francuscy, włoscy, angielscy, wyrażając współczucie rannemu, którego umieszczono w wozie ambulansowym. Paulin Broquet odprowadził na stronę generała Osaka, pod pretekstem wyjaśnień, dotyczących wypadku.

— Generale — rzekł — gdyby minister wojny nie zatrzymał mnie przed chwilą, ten wypadek nie zaszedłby.

— Jakto?

— Mam przy sobie kawałek palca, oderwanego od jakiejś ręki podczas eksplozji i właśnie przed chwilą chciałem się przekonać komu z panów Japończyków brak u ręki tego palca.

— Panie...

— Bładość porucznika Maritzu i gorączkowy blask jego oczu od razu mnie uderzyły. I kiedy widziałem, jak odchodził w stronę automobilu, byłem pewny, że ma odjechać, bym nie był w stanie obejrzeć jego ręki i dowiedzieć, czem się zajmuje misja japońska w Paryżu.

— A! panie, nigdy nie pozwolę panu...

— Przepraszam, generale, to co mówię, zostanie między nami. Pan wie, że od czasu naszego spotkania w hotelu Stella Palace, mogę tak z panem mówić. Dodać muszę, iż wczoraj wieczorem widziałem tu na polu ćwiczeń pewien automobil i wiem do kogo należy. Dalej, to ja sam, generale, popsułem trzy rowery, którymi przyjechali oficerzy japońscy.

Do czego pan dąży właściwie?

— Żeby panu powiedzieć to: wczoraj wieczorem pański dawny przyjaciel Will Wilson, który inaczej mówiąc jest Zigomarem, rozwalił głowę artylerzysty, niosącemu torbę z dokumentami D. R.

D. R! — zawołał generał, drgnąwszy. Więc Zigomar je ma.

— Tak i to po raz drugi.

— Po raz drugi? Jakto?

— Ma te dokumenty, które dla niego włożyłem do torby.

— A więc, w rezultacie?

— W rezultacie, artylerzysta ogłuszony, a porucznik pozbawiony ręki, oto wszystko!

Generał Osaka patrzył na detektywa, czy jego dziwnie błyszczały.

— Pan jest zdumiewający, panie Broquet!

— Dziękuję panu. Dodam jeszcze parę słów. Ta sprawa, w której Japończycy okazali tyle dzielności i poświęcenia, jest ukończoną, zamkniętą. Pan i ja będziemy wiedzieli o tym bohaterskim czynie. Porucznik Maritzu może się leczyć spokojnie. Ja nie powiem. Gdybym ogłosił to, co wiem, okryłbym się sławą, ale to Francji nie przyniesie korzyści.

Generał uściśnął dłoń Paulina Broqueta.

— Tak — rzekł — ta sprawa jest skończona. Zajmowałem się nią, użyłem całego geniuszu rasy japońskiej, całej odwagi i poświęcenia i zostałem przez pana zwyciężony. Przyznaję to panu i składam hołd pańskiej działalności.

W tej chwili rozległ się grzmot wystrzału armatniego. Generał zwrócił się w stronę, skąd huk dochodził i przyłożył rękę do kępi.

I oddaję hołd Francji! — dodał.

Paulin Broquet skłonił się.

ROZDZIAŁ XXIX.

Ostatni zamach.

Zigomar, naturalnie, także znajdował się na polu ćwiczeń. Od swych ludzi dowiedział się o ostatnich

wypadkach. Domyślił się, kto chciał się zakraść do budynku z armatami i ucieszył się z niepowodzenia Japończyków.

— Baron Osaka — rzekł — chciał pracować na własną rękę i sparzył się fatalnie. A więc będziemy mieli przed nim D. R. A wówczas zapłaci nam tyle, ile zażądamy.

Tu Zigomar zapomniał, że nawet bandyta tak potężny i zręczny, jak on, nie powinien sprzedawać skóry na niedźwiedziu. Ale po ukończeniu ćwiczeń, Zigomar uważał, że ma prawo myśleć o zwycięstwie. Poznał Paulina Broqueta, który w przebraniu artylerzysty wsiadał do automobilu pułkownika de Fontgrive.

— To on ma przy sobie dokumenty. Wiem teraz, gdzie go szukać.

Wsiadł ze swymi ludźmi do automobilu i kazał jechać za detektywem. Przez chwilę chciał zaatakować go na drodze, ale ogromny ruch powozów i automobilów przeszkodził mu w tem. Wróciwszy do Paryża, szpiegował dom pułkownika. Przed domem przechadzał się agent, w łóży odźwiernego znajdował się drugi. Paulin Broquet zaś, odprowadziwszy pułkownika do mieszkania, wsiadł w automobil i odjechał w stronę pola ćwiczeń.

— Dobrze — mruknął do siebie Zigomar — pojechał na pole pilnować armat. Papiery są u pułkownika.

Koło północy, Zigomar, ucharakteryzowany, jak jeden z lokatorów, którego znał jako markiz don Martolo, wszedł do domu i dał się poznać ludziom stojącym na strażnicy. Wszedł na schody i bez szmeru otworzył drzwi do mieszkania pułkownika. W przedpokoju zatrzymał się, nasłuchując. Z za drzwi, wiodących do sypialni pułkownika, słychać było głośnie chrapanie. Drzwi od sypialni były zamknięte. Dla zabezpieczenia się. Zigomar obwinął klamkę łańcuchem, na końcach którego znajdowały się stalowe haczyki. Haczyki te wcisnął w drzwi, zabezpieczając je w taki sposób od otworzenia. Uczyniwszy to, otworzył drzwi od gabinetu i wszedł. Wyjął lampkę elektryczną z błękitnem szkłem i przy jej świetle rozejrzał się po pokoju. Na biurku leżała duża płócienna koperta. Zigomar otworzył ją, zajął się przekonaniem się, że zawierała papiery, rysunki w teczkę z literami D. R. Uśmiechając się tryumfalnie schował kopertę i ruszył w stronę drzwi. Gdy wychodził z gabinetu, noga jego napotkała jakąś przeszkodę, której tam przedtem nie było, pochylił się, żeby zobaczyć ją i w tej chwili, otrzymawszy potężne uderzenie w głowę, runął na podłogę.

W tej chwili przedpokój zajaśniał światłem. Zigomar chciał się zerwać, bronić, użyć siły, nie był w stanie. Ręce i nogi, całe ciało miał spętane, obездzielnione. Przed nim stał Paulin Broquet:

— No i cóż, Zigomar — nareszcie wpadłeś w moje sieci.

Istotnie bandyta spętany był w dużej sieci, lekkiej, a tak mocnej, że niepodobna jej było porwać. Zigomar piekł się z wściekłości, zionąc najstraszliwsze przekleństwa.

— Widzisz — rzekł Paulin Broquet — zupełnie niepotrzebnie fatygowałeś się do tego mieszkania. Bo, najpierw, dokumenty, które skradłeś są fałszywe, prawdziwe zaś są dziś w szkole artylerji. A po drugie, wpadłeś tak fatalnie w sieć! Zigomar, król bandytów, tak marnie kończy!

Bandyta przestał kłać i krzyknął.

— Nie ciesz się, Paulin Broquet! Wiesz sam dobrze, że Zigomar tak nie skończy!

Paulin Broquet i Gabryel ujęli za końce drążka, i znieśli spętanego bandytę do automobilu. Sidi ruszył z miejsca pędem, wesoło nucąc swą ulubioną algierską piosenkę.

Na drugi dzień rano w gabinecie sędziego śledczego znajdowali się prefekt policyi i szef bezpieczeństwa. Paulin Broquet, Gabryel, L'Amorce, Her-

man i Mapipe wprowadzili Zigomara w kajdankach. Wszedł z podniesioną głową, uśmiechając się pogardliwie. Na pytanie sędziego śledczego, odparł:

— Nie będę mówił, dopóki się nie naradzę ze swym obrońcą.

— Czy pan już wybrał adwokata?

— Tak. Pana Raula Montenil.

— Tymczasem jednak — rzekł sędzia — możemy przystąpić do konfrontacji.

Wszedł pułkownik de Fontgrive i kapitan Malther.

— Trzeba panu wiedzieć — dodał sędzia — że kucharka kapitana Malther została aresztowaną i wyspiewała wszystko, co wiedziała.

Zigomar błysnął oczyma, ale uśmiechnął się:

— Babskie gadanie!

— Wobec tego może pan zechce posłuchać zeznań dam światowych.

Dał znak i ajenci wprowadzili piękną hrabinę Pędę d'Ortega i hrabinę Wassowia w strojach podróżnych.

— Paulin Broquet — wyjaśnił sędzia — aresztował te panie w chwili, gdy wsiadały do pociągu.

Hrabina d'Ortega, ujrawszy Zigomara — wydała okrzyk:

— Mój bracie! Mój bracie!

Podbiegła doń, rzuciła mu się na szyję i uściśnęła. Potem cofnęła i poczęła się śmiać.

— Nie będziecie go mieli żywego — Zigomar i tak wam się wymknie!

I rzuciła na biurko sędziego malutki kryształowy flakonik, którego zawartość wypił podczas jej uścisków bandyta.

Zigomar wyprostował się nagle, zeszytniał i wydawszy okrzyk runął na ziemię.

— Zigomar! — krzyknęła hrabina d'Ortega.

— Zigomar. — powtórzył jeden ze strażników — i wyjąwszy rewolwer, wycelował w detektywa i strzelił. Ale nie trafił. Pułkownik de Fontgrive, który widział jego ruch, utopił mu szpadę w gardło.

— Dziękuję, pułkowniku — rzekł Paulin Broquet.

— Wie pan, kogo pan zabił? Człowieka o zielonych oczach, który w ruchomej masce odgrywał w świetle rolę markiza don Martolo, gdy Zigomar udawał się na swe bandyckie wyprawy.

Wezwany lekarz stwierdził śmierć Zigomara. Oczy, te oczy o zielonym blasku dzikich zwierząt, były szklane, serce przestało bić.

— To mi nie wystarcza, doktorze — rzekł Paulin Broquet — tyle razy już zabijałem Zigomara, że pragnąłbym, by umarł teraz naprawdę.

— Nie mogę mu uciąć głowy! — odparł lekarz.

— Szkoda. Ale może pan będzie tak dobry, zastrzyknie mu, jak go przeniosą do Morgi, dawkę formaliny i pewnej mieszaniny, której panu dostarczę. Wówczas będziemy pewni, że umarł naprawdę i będziemy mogli zachować jego ciało, jako mumię.

Lekarz obiecał uczynić, o co go proszono.

Wieczorem Paulin Broquet z Gabryelem i L'Amorce udali się do Morgi. Lekarz sądowy, który stwierdził śmierć Zigomara, ręczył, że ten nadzwyczajny środek ostrożności jest zbyt czysty, gdyż trupowi zastrzyknął już dawkę substancji, która miała ciało przemienić w mumię.

Gdy Paulin Broquet wszedł do sali, gdzie przeniesiono Zigomara, zobaczył na marmurowym stole wielką literę Z, nakreśloną krwią. — Zigomar zaś znikł!

Jedno z okien, wychodzących na Sekwanę, było otwarte.

— No — rzekł Paulin Broquet, uśmiechając się spokojnie. — Zigomar pozostał wiernym sobie. Znowu wymknął się, jak wąż!...